

NA CZTERY WIATRY

Przegnac kogos na 4 wiatry to znane w Polsce powiedzonko.

Ja tymczasem przepedzilem na 4 wiatry moje dzieciaki z oazy, ktore goscyli w Angrenskiej parafii. Nie znaczy to ze je wygnalem z domu. Naodwrot, za zgoda rodzicow zabralem na weekendowa przejazdke, ktora miala spelnic kilka funkcji.

Mial to byc nasz oazowy dzien skupienia, mielismy udekorowac swiecami tutejsze “zapomniane cmentarze” a przy okazji zapoznac sie i obcowac ze “zdretwialymi” w stagnacji i w biedzie miejscowymi parafianami. Pan Bog dal dobra pogode i jeszcze jeden niezaplanowany cel. Co to bylo wyniknie niebawem z tekstu. Mam nadzieje, ze temat was wciagnie.

1. Pozegnanie z Andrzejem

Na naszej oazie byl chlopiec, ktorego w myslach nazywam skeenheadem. To dobry material na misjonarza, ale nadal ma “zdrowo porabane” w glowie, wiec miota sie miedzy kosciolem i “trawka”. Miota sie rowniez miedzy Uzbekistanem i Rosja. Mimo, ze wyrosł przy mamie, ktora jest Tatarzynka, to jednak po ojcu ma jasna tonacje wlosow i wielko-rosyjski swiatopoglad. Posiada nawet rosyjskie obywatelstwo, choc w rzeczy samej cale zycie spedzil w Alamyku. Na moja prosbe znalazl domek pod kaplice w rodzinnym miescie, i gotow byl ten domek samodzielnie remontowac a nawet strozowac i sprowadzac nowych ludzi dlakosciola... Dostrzeglem w nim pewne talenty w obcowaniu z ludzmi zwlaszcza z tzw. “nieformalna mlodzieza”. Ten misyjny dar jednak najprawdopodobniej przepadnie, przynajmniej na razie, bo domek Biskupowi sie nie spodobal.

Perspektywa najmowania Andrzeja jako stroza tez nie przypadla chyba Ekscelencji do gustu. Chlopak to poczul i postanowil wyjechac w poszukiwaniu pracy do Niznego Nowogrodu. W miedzyczasie trwaly przygotowania do dnia skupienia. Mialem zamiar zaprosic Andrzeja do Angrenu ale gdy tylko powiedzial, ze planuje wyjazd “wprosilam sie do niego” z cala taszkiencka oaza na tzw. “prowody”, czyli pozegnalny obiad. Andrzej kiedys chwailil sie, ze swietnie robi manty. Przypomnialem mu o tym i poprosilem, by je nareszcie zrobil.

2. List do Jezusa

Przybylismy do Alamyku o 10-tej z rana. Po drodze ustalilismy przez telefon, ze poki manty beda sie gotowac, to my z mlodzieza odwiedzimy miejscowe gory.

Pilnowac mant pozostal dwoje oazowiczow. Pokazywac miasto wyruszył z nami gospodarz. Siedlismy w rejsowy busik, ktory jechal na poludnie miasta w strone gor. Zdziwilem sie, gdy Andrzej nie doczekawszy sie wysokich miejsc, w okolichac pewnego pagorka poprosil bysmy wyszli z autobusu. Nigdzie nie widac bylo gor a on uparcie prowadzil korowod oazowiczow w strone pagorka.

W pewnym momencie ujrzeliśmy ogromny krater a w jego wnetrzu blekitne jezioro.

Brzeg krateru byl bardzo stromy i niebezpieczny tym niemniej zapieralo nam dech. To bylo naprawde piekne miejsce. Okazalo sie, ze ta gora jest z marmuru i ze poprzez wydobycie powstal otwor kilkusetmetrowej glebokosci jak studnia.

Zaczeliśmy wedrowac w dol po serpentynowej sciezce. Co kilka minut zatrzymywalismy sie i ja wypowiadalem rozmyslanie i intencje do kolejnych tajemnic rozanca.

Taki wedrowny sposob modlitwy jaki znany jest z pielgrzymek oraz z oazy szybciotko stworzył atmosphere lata. Dzien byl naprawde skwarny i mysli mimowolnie biegly na te miejsca i sytuacje z pamietnych letnich rekolekcji.

Po trzeciej tajemnicy juz bylismy na brzegu jeziora. Przerwalismy na chwile rozaniec, by popatrzec na wode. Plywalo po niej sporo plastikowych butek. Zaproponowalem, by w jedna z nich polozyc list o naszym pobycie. Tresc byla mniej wiecej taka: “Kochany Jezusie,

rozważaliśmy tutaj historie twoich narodzin. O twej śmierci i zmartwychwstaniu rozważymy w Angrenie. Cierpliwie na nas poczekaj”. Chłopcy doł butelki napełnili kamieniami, by butelka przyjęła postawę stojącą w wodzie. Na dole 10 osób złożyło podpisy. Zamknęliśmy butelkę i rzuciliśmy liścik kilkanaście metrów od brzoego, by płynął na środek jeziora.

3. Miłosierdzie dla ciała – wojna kartoflana

Na obiad przyszlismy ze spóźnieniem, tym samym spóźniliśmy się do Angrenu, gdzie niecierpliwie oczekiwali na nas parafianie. Dobrze się złożyło, bo kilka faktów sprawiło, że spotkanie wyszło niezwykle.

Trwały na terenie kaplicy remonty centralnego ogrzewania i nie sposób było się modlić w kaplicy. Parafianie rozseidli się wygodnie na kuchni. Ponieważ w ten ostatni październikowy dzień było przewidziane “święto kartofla”, mieliśmy bowiem rozdawać biednym parafianom cebule i ziemniaki specjalnie na ten “charytatywny cel” zakupione przybyło wiele osób, których już dawno nie widziałem w parafii. Tym sposobem było nas niemal 30 osób. Młodzież zajęła miejsca w ławeczkach przyniesionych z kaplicy – chwala Panu stolowka jest sporych rozmiarów – nie mniejsza od kaplicy.

Najpiękniej byłoby zakończyć miesiąc rozancem, ale ponieważ się spóźniliśmy a parafianie mieli posępne miny postanowiłem nie odwlekać “aktu miłosierdzia” i zaproponowałem tradycyjną koronkę Bożego Miłosierdzia, która w oazowym wariacie zabrzmiała w wykonaniu młodzieży bardzo przekonująco.

Po raz kolejny kilka osób miało pozostać w domu, by szykować kolacje i posprzątać po robotnikach w kaplicy. Odbyło się losowanie, tymczasem na podwórku odbywały się jak to bywa przy każdej “akcji charytatywnej”, “dantejskie sceny”. Pewne parafianki prosiły porcje kartofli dla swoich dzieci, inne dla wnuków, toteż przygotowanych 10 kompletów zdało się zbyt mało. Po raz kolejny parafianie udowodnili mi, że jest nas więcej niż 10 rodzin. Choć to mnie rozbawiło, tym nie mniej był też powód do zmartwienia i wstydu.

Dzisiaj w Polsce mało kto uwierzy, że ktoryś z krajów sowieckich może być tak biedny, by się bić o kartofle. Tym nie mniej właśnie byłem świadkiem takiej “kartoflanej wojny”.

4. Rozejm

Konflikt wokół podziału ziemniaków zakończył się dzięki tolerancji stroza i mojej instrukcji, by dawać każdemu tyle ile prosi. Nic dziwnego, że w takiej atmosferze parafianie zignorowali moją propozycję, by wieczorem odwiedzić razem z młodzieżą jeden cmentarz w gorach. Poradzili, byśmy poszli do zmarłych wzorem zeszłego roku na trasę Ferganska. Trochę byłem tym zakłopotany ale spokojnie przystałem i na to.

Konkubina naszego stroza nawet w porywie emocji wypomniła zebranym, że po ziemniaki ich przyszło wielu a na cmentarz nie ma komu iść.

Ja zrobiłem to samo następnego dnia w bardziej dyplomatycznej formie.

5. Płow, tykwa etc.

Gdy tydzień wcześniej proponowałem dla młodzieży ten wyjazd w góry nadałem mu zagadkowy kryptonim “halloween”. Nie zależało mi na powielaniu komercyjnych schematów, które dotarły do Uzbekistanu. Na odwrót poprobowowałem wykorzystać “antyreklamę” celtyckich zwyczajów dla popularyzacji dnia Wszystkich Świętych, który w tych stronach jest mniej znany.

Ci, którzy wylosowali dyżur na kuchni, gdy robili zakupy wykorzystali ten mój żart i kupili proz ryżu i wielu komponentów dla płowu również dużych rozmiarów tykwe, której z talentem wycięto żeby oczy i miąższ w środku dla wstawienia świecy.

6. Miłosierdzie dla duszy

Dwie osoby porzakowały kaplice wiec na odwiedziny cmentarza miałem 7-miu pomocników. Ja byłem osmy wiec podzieliłem grupę na 4 pary. Dziewczeta rozelałem na południową ścianę porzuconego cmentarza. Starszych chłopców na wschód, młodszych na północ, sam udałem się na Zachód.

Jadąc busikiem w kierunku kopalni na drugi koniec miasta slyszalem komentarze, że już zapada zmrok i że może być strasznie. Tym niemniej zaintrygowałem wszystkich na początku mówiąc, że nauczę ich odróżniać katolickie mogiły od reszty.

Już rok temu zauważyłem, że w Uzbekistanie podobnie jak w Rosji Prawosławni stawiają krzyż we wschodni koniec mogiły, czyli na nogi. Katolicy zaś na odwrot czyli na zachód, na głowę. Całkiem inaczej wyglądają muzułmańskie mogiły, których tutaj było sporo. Niemal było mogił “ateistów” z piramidką i gwiazdka na czubku.

Dziewczeta chodziły mozolnie ale nie znalazły niczego. Południowy sektor był pełen muzułmańskich mogił i ich świece pozostały niewykorzystane. Ja brodziłem raczej po prawosławnym sektorze chodząc 5 katolickich mogił znalazłem, podobnie Andrzej. Najwięcej jednak znalazł najmłodszy Ilja. U niego pozostawiliśmy większość spośród 60-ciu przygotowanych na ten cel świec. Było tego mało, zabrakło też wody świeconej, więc na pożegnanie krzyknąłem głośno: ”braciszkanie wybaczenie, dokonamy za rok”.

Dodam, że przy każdej katolickiej mogile odmawialiśmy zwaszki, więc tym “anonimowym braciom” dostał się “kawalek miłości”.

W międzyczasie nastąpiła noc, lecz nie widac było by ktos się lekał. Naodwrot wszyscy mieli podniosły nastrój. Gdyśmy jechali w busiku młodzież bez skrepowania kontynuowała śpiew kanonów, które nuczili jeszcze na cmentarzu. Scena dla naszego miasteczka nader niezwykła.

7. Trzy kościoły

Podczas tego śpiewu dokonała się największa intryga wigilii Wszystkich Świętych. Mowa o tym właśnie niezaplanowanym celu, który niespodzianie został osiągnięty. W busiku pod akompaniament kanonów ja powtórzyłem kolejną próbę, by dozwonić się do Pastora Stanisława. Chciałem dzieciom urządzić wycieczkę do zboru adwentystów, bo to najładniejsza budowla kościelna w mieście i poza nią niewiele miałbym do pokazania.

Z początku pastor się zawahał, bo w świątyni od 3 dni nie było światła, tym niemniej gdy rzekłem, że i tak będziemy przechodzić tamtędy, bo mamy w planie wycieczkę rzekł, że na 10 minut nas zaprasza, bo spieszy się do Taszkentu.

Jakimś cudem gdyśmy byli już w środku i miło gawędzili w kościele pojawiło się światło o czym powiadomiła nas mała Sasza córka 30-letniego pastora. Poprosiłem go by opowiedział o swym nawrocie i historii swego powołania.

Zrobił to chętnie a nawet pospiewał z nami. Z obiecanych 10 minut spotkanie przedłużyło się do pół godziny i widac było jak promienieje twarz pastora jego dzieci i małżonki, która się zjawiała na koniec, by nam pomóc zaśpiewać hymn św. Franciszka, który w ich śpiewniczku jakiś czas temu odnalazłem.

Tej nocy po wysmienitej kolacji odmówiliśmy jeszcze chodząc po mieście trzy kolejne czastki rozanka, odwiedzili w podobnej atmosferze dwa kolejne zbory i odprawili o północy Msze św. z kazaniem o pustelniku i brodzących nocą po cmentarzu uczniach.

Skonczyło się to wszystko o 2-giej w nocy i choć “łozka połowe” były gotowe, to jednak z wrażenia nikt nie spał. Wspomnienia oazowe trwały do 6-tej rano.

O tej właśnie porze rozpedziłem młodzież “na cztery wiatry” pierwszym powrotnym busikiem jadącym do stolicy a sam zacząłem przygotowania do parafialnej Mszy porannej.